

ER(R)GO

polemiki | komentarze | rozmowy | uwagi

Jestem (tylko) słabym, amerykańskim antyfundacjonalistą

Z profesorem Stanleyem Fishem rozmawia Leszek Drong

Leszek Drong: Przede wszystkim chciałbym podziękować Panu Profesorowi - także w imieniu czytelników naszego czasopisma - za zaproszenie i możliwość porozmawiania z Panem osobiście. Zacznijmy od początków Pańskiej niezwykłej kariery naukowej. O ile wiem, pod koniec lat sześćdziesiątych przebywał Pan we Francji, a konkretnie w Paryżu. Czy mógłby Pan opisać wpływ, jaki wywarli na Pana ówczesne poglądy francuscy intelektualiści? Jak się nietrudno domyślić, tym pytaniem chciałbym także zachęcić Pana do powiedzenia kilku słów na temat niedawno zmarłego Profesora Jacquesa Derridy...

Stanley Fish: Tak, to prawda, że mieszkałem przez jakiś czas w Paryżu pod koniec lat sześćdziesiątych, ale w tamtym okresie byłem pod większym wpływem anglo-amerykańskiej tradycji filozoficznej i postaci, które były albo studentami albo zwolennikami J. L. Austina. W latach 1967–1969 teoria aktów mowy zaczynała się dopiero rozwijać, a ja zainteresowałem się nią, ponieważ już wtedy od kilku lat pracowałem nad metodami opisu struktury doświadczenia czytelniczego i kiedy zastanawiałem się nad kategorią czytelnika - nad tym jak ją uwzględnić w analizie literackiej - wpływali na moje poglądy różni ludzie, także ci zajmujący się psychoanalizą i stawiający sobie te same pytania, co ja (Norman Holland był wśród nich chyba najważniejszą postacią i moim bliskim przyjacielem). Także w Niemczech tacy naukowcy jak Hans Jauss i Wolfgang Iser zajmowali się czytelnikiem z perspektywy historii recepcji (Jauss), albo (tak jak Iser) próbowali opisywać luki, które czytelnicy mieli uzupełniać w trakcie lektury różnych powieści i innych utworów literackich. Ponadto warto wspomnieć Louise Rosenblatt, która pod koniec lat 30. wydała książkę z dziedziny edukacji o literaturze i doświadczeniach czytelników. Z francuskich postaci trzeba wymienić Michaela Riffaterre'a, również mojego bliskiego przyjaciela, który pisał na temat kategorii czytelnika z perspektywy strukturalistycznej. Tak więc mamy tu wszystkich, którzy zajmowali się czytelnikiem i którzy cieszyli się wówczas moim zainteresowaniem - kiedy pojechałem do Paryża, miałem okazję zapoznać się z pracami Tzvetana Todorova, który akurat wydał książkę o fantastyce w literaturze, a przede wszystkim z pracami Rolanda Barthesa, szczególnie z *S/Z*, książką, która także traktuje o czytelniku. Korzystałem z tej książki, prowadząc zajęcia i wtedy właśnie na moim horyzoncie pojawił się Derrida, a po Derridzie Foucault i jeszcze nieco później Lacan. Tak więc pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych czytałem ich prace i uczyłem na podstawie tych tekstów - tekstów, które były nowe nie tylko dla mnie, ale i dla wielu amerykańskich naukowców. Zacząłem wtedy prowadzić nowy cykl zajęć - pamiętam to jak dzisiaj - a moja żona, Jane Tompkins, uczestniczyła w tych zajęciach, więc pewnie pamięta to jeszcze lepiej ode mnie. Zwykle zaczynałem cały

cykl zajęć od kwestii językoznawczych, którymi zajmowali się styliści komputerowi, ludzie, którzy kompilowali statystyczne profile formalnych operacji i tekstów, a potem usiłowali generować na podstawie otrzymanych danych wnioski interpretacyjne. Potem przychodziła kolej na brytyjskich stylistów, Michaela Hallidaya i jego żonę Ruqaiyę Hasan – oboje studiowali u Firtha i zajmowali się czymś, co określano jako „językoznawstwo firthiańskie”. Następnie robiłem Riffatterre’a i ogólnie techniki strukturalistyczne – zajmowaliśmy się Riffatterrem, Levi Straussem i Vladimirem Proppem (jego *Morfologia bajki* to naprawdę świetna książka), co prowadziło nas do lektury Ferdinanda de Saussure’a, a od de Saussure’a można było zrobić kolejny krok ku poststrukturalizmowi i poglądom Derridy, takim esejom, jak „Sygnatura, zdarzenie, kontekst”, „Differance” i pierwsza część *Gramatologii*, gdzie mogliśmy zacząć badać konsekwencje tezy de Saussure’a, która mówi, że język jest systemem sygnifikantów pozbawionym elementów pozytywnych. Jednocześnie wprowadzałem elementy teorii aktów mowy, teksty, który powstały za sprawą Johna Searle’a, a w literaturoznawstwie za sprawą Richarda Ohmanna na uniwersytecie Wesley. Starałem się połączyć zagadnienia związane z czytelnikiem, te związane z teorią aktów mowy i zagadnienia derridiańskie, podporządkowując je ogólnemu namysłowi nad interpretacją i jej przebiegiem. Tak więc ten nowy cykl zajęć, który wprowadziłem w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, dążył do uwzględnienia wszystkiego tego, co wtedy się działo. W moim przekonaniu, nic tak nie ukształtowało mojego sposobu myślenia, jak właśnie prowadzenie tych zajęć.

LD: Wygląda na to, że były to bardzo eklektyczne zajęcia...

SF: Były eklektyczne, ale też miały swoją strukturę. Zaczynały się od czegoś, co można by określić jako atomizm stylistyki komputerowej, uprawiany przede wszystkim przez Louisa Millica, by przejść stopniowo do pełniejszego pojęcia tekstu, kontekstu, świata, sytuacji czytelnika i wszystkiego tego, co nabiera wagi, kiedy zaczynamy się zajmować strukturalizmem i poststrukturalizmem. Ciągle jeszcze gdzieś mam sylabus z tych zajęć... Uczenie takiego materiału to była duża frajda, chociaż kosztowało mnie to również dużo pracy. Sam nie wiem, czy dzisiaj byłbym jeszcze w stanie poprowadzić takie zajęcia...

LD: Pamięta Pan, jakie były reakcje studentów?

SF: Tak, ale o to najlepiej zapytać moją żonę. Była wówczas moją studentką i te zajęcia, jak sama twierdzi, odmieniły jej życie.

LD: Z przyjemnością zadałbym jej kilka pytań na ten temat, teraz jednak chciałbym przejść do nieco bardziej współczesnych zagadnień związanych z Pana poglądami. Roger Kimball, w swojej książce *Tenured Radicals* [Radykałowie na etacie uniwersyteckim], nazywa Pana „współczesnym sofistą” i najwyraźniej ma to być to z jego strony oskarżenie. A jaki jest Pański stosunek do tradycji sofistycznej?

SF: Jednym z przedmiotów, które wykładałem na Uniwersytecie Duke była właśnie retoryka; tak naprawdę to sam studiowałem retorykę klasyczną jeszcze jako doktorant na Uniwersytecie Yale. Kiedyś zajmowałem się bardzo formalną analizą retoryczną. Jednym z moich pierwszych opublikowanych artykułów była praca poświęcona wierszowi Johna Skeltona. Był to szczegółowy i wyczerpujący opis figur

stylistycznych w tym wierszu, a także analiza tego, w jaki sposób te figury prowadzą do końcowego efektu stanowiącego cel utworu. Więc dla mnie oskarżenie Kimballa, że jestem sofistą, oznaczało, że mam swój udział w czymś, co można określić jako „retorycyzacja” wszystkiego dokoła. Jeśli spojrzysz Pan na mój esej o retoryce w książce *Doing What Comes Naturally* [Robić to, co przychodzi samo z siebie], zrozumie Pan, jak to możliwe, że nie uchylam się przed określeniem „sofista”. W ogólnym sporze między filozofią i retoryką byłem – przynajmniej wówczas, kiedy mnie tak określano – zdecydowanie po stronie retoryki. A opowiedzenie się po stronie retoryki oznacza, że w kontekście zestawu binarnych przeciwieństw – w eseju, o którym wspominałem, wymieniam wszystkie te przeciwieństwa – podczas gdy według tradycyjnej historii, którą opowiada filozofia, każdy element po lewej stronie jest dobry, a każdy z prawej (retoryka, język, obrazowanie, ikonografia, etc.) jest zły lub podejrzany, ja stawiałem sobie za zadanie wykazać – albo przynajmniej utrzymywałem, że udało mi się wykazać – że to właśnie te poważne i solidne elementy, na które w geście triumfu wskazują zwolennicy filozofii, są produktami retorycznych działań i zabiegów. Właśnie takiego rodzaju tezę udowadniałem w różnych kontekstach. To także podstawowa teza eseju, który w polskim przekładzie opublikowało Pańskie czasopismo¹. Ale stawiam ją także w wielu innych tekstach: weźmy na przykład ten, który zawsze mi się podobał, esej o ironii pt. *Short People Have Got No Reason to Live* [Niscy ludzie nie mają powodu, by żyć], w którym podejmuję polemikę z moim bliskim przyjacielem Wayneem Boothem i kwestionuję stabilność dwóch kategorii, jakimi on się posługuje – stabilnej i niestabilnej ironii – pokazując, że, owszem, zawsze mamy do czynienia z jakimś elementem „danym”, w stosunku do którego można mówić o retorycznej manipulacji, ale ten „dany” element staje się „dany” dopiero w wyniku czyichś retorycznych zabiegów. Więc jeśli, nazywając mnie sofistą, ma Pan na myśli to, że zawsze zajmuję się udowadnianiem, że to, co stałe i stabilne, jest tak naprawdę produktem tego, co można określić jako siły retoryczne, to muszę przyznać się do winy. Kolejnym dobrym przykładem z tomu *Doing What Comes Naturally*, przykładem, który dzisiaj pod pewnymi względami uznałbym już za budzący wątpliwości, jest esej „Force” [Siła], który opowiada się po stronie retoryki w sposób, który wydać się może wręcz niebezpieczny. Tak czy inaczej, różnica między sposobem, w jaki przedstawiałbym te zagadnienia dzisiaj i w jaki przedstawiałem je wówczas, sprowadza się właśnie do sposobu ich przedstawienia: teraz cały potencjał retoryczny/lokalny/historyczny postawiłbym po stronie uzasadnienia, a nawet słowem bym nie wspomniał, tak jak to robiłem wcześniej, o tym, że wszechobecność i nieuchronność retoryki całkowicie przesłania takie kategorie jak prawda czy poprawność. Innymi słowy w tych wcześniejszych esejach niebezpiecznie kusily mnie, a czasem nawet skutecznie uwodziły, błędy charakterystyczne dla mocnej – w przeciwieństwie do słabej – wersji antyfundacjonalizmu...

LD: Zgodziłby się Pan ze stwierdzeniem, że winą za te błędy można by obarczyć na przykład Pańską skłonność do hiperboli?

SF: Tak, myślę, że tak, chociaż to nie tylko kwestia hiperboli. Uwielbiam ten specyficzny rodzaj zwięzłej, ciętej, odrobinę udratyzowanej puenty w stylu „Nie

ma ucieczki od interpretacji”. Bez wątplenia dawałem się w takich sytuacjach uwodzić urokowi własnych stwierdzeń.

LD: To także urok retoryki jako takiej...

SF: Jak najbardziej.

LD: A więc przyznaje się Pan do bycia sofistą. A jak odnosi się Pan do innych etykiet, które przyczepiają Panu komentatorzy Pańskich poglądów, takich jak neo-pragmatyzm, konstruktywizm, czy antyfundacjonalizm? Wydają się Panu trafne, czy raczej nieadekwatne?

SF: O tak, antyfundacjonalizm to nic innego jak uznanie słuszności tezy, za którą z pewnością opowiadają się niemal wszyscy zajmujący się poszczególnymi dziedzinami filozofii, ogólnej tezy o mediacji, braku dostępu do wyraźnego, niezapośredniczonego kontaktu z czymś, co nazywamy faktem lub prawdą itp. Więc – tak, antyfundacjonalizm z całą pewnością. Jeśli chodzi o pragmatyzm, to nigdy nie określałem siebie jako pragmatysty, i chociaż teksty pragmatystów – teksty Rorty’ego, niektóre, wybrane prace Hilary’ego Putnama, dzieła Williama Jamesa, Deweya i Peirce’a – wydają mi się pod wieloma względami pokrewne, przynajmniej wtedy, kiedy w moim przekonaniu opowiadają się po stronie antyfundacjonalistycznych konkluzji, nigdy nie przekonywały mnie zapewnienia i obietnice, które znaleźć można u Rorty’ego, że pragmatyzm, jeśli tylko będziemy się go trzymać jako rozwiązania pewnego zestawu zagadnień filozoficznych, dostarczy nam sposobu na radzenie sobie ze światem i jego problemami; że dzięki pragmatyzmowi znajdziemy sposób na to, jak stać się ironistami, o których Rorty pisze w *Przygodności, Ironii, Solidarności*. Tak więc nigdy nie miałem wrażenia – czy też nigdy nie doszedłem do wniosku – że, gdyby tylko przekonać kogoś do pragmatystycznych wniosków dotyczących różnorodnych zagadnień epistemologicznych, stałby się on (występując w różnych życiowych rolach: jako sędzia, krytyk, rodzic czy działacz polityczny) innym człowiekiem niż gdyby nie przekonała go teoria pragmatystyczna. W takim właśnie znaczeniu nigdy nie byłem pragmatystą.

LD: To zarazem najpoważniejsza różnica między Pańskimi poglądami i poglądami Profesora Rorty’ego, prawda?

SF: Tak, to istotna różnica. Poza tym wśród pragmatystów są jeszcze inne postaci, ludzie tacy jak Richard Bernstein – nie wiem, co oni by na to powiedzieli. Najwyraźniej są przekonani (szczególnie Bernstein), że pragmatyzm opowiada się po stronie demokracji, to znaczy, że jeśli człowiek będzie trzymał się pragmatystycznych zasad (ale jak w ogóle można mówić o pragmatystycznych zasadach?), to ma większe szanse na wypracowanie sobie tej elastycznej, otwartej i tolerancyjnej postawy, która zdaniem Bernsteina i innych jest niezbędna i leży u podstaw demokracji.

LD: Taka teza odwołuje się do sposobu, w jaki już John Dewey rozumiał związek między pragmatyzmem i demokracją.

SF: To prawda. Tak, jak najbardziej.

LD: A teraz pytanie związane bezpośrednio z Pańską dziedziną naukową. Jak Pan się zapatruje na obecny kształt i perspektywy literaturoznawstwa jako dyscypliny naukowej?

SF: Jednym z zasadniczych zagadnień związanych z literaturoznawstwem jest dystynktywność zadań; literaturoznawstwo powinno zachować swój dystynktywny charakter jako dyscyplina skupiająca się na tym, co literackie, a nie zajmować się kwestiami politycznymi lub filozoficznymi. Żeby to lepiej zobrazować, przyjrzyjmy się Miltonowi. Intencją Milтона było stworzenie poematów, masek i sztuk. Pisał też traktaty polityczne. Ale jeśli chcemy zrozumieć to, co napisał i ocenić to w odniesieniu do odpowiednich kryteriów, wydaje mi się, że musimy zacząć od jego intencji literackiej. I pytania, jakie należy sobie postawić, wynikają z intencjonalnego charakteru dążeń, których efektem i zwieńczeniem jest ten czy inny poemat. Jeśli jednak zaczniemy szukać w poetyckich utworach Milтона treści filozoficznych, politycznych, czy religijnych (które swoją drogą na pewno da się tam znaleźć) stracimy zupełnie z oczu dzieło, nie będziemy w stanie powiedzieć dlaczego Milton ma znaczenie (jeśli przez Milтона rozumiemy osobę, która napisała poszczególne utwory, itd.), utracimy możliwość uchwycenia cech literackich, które to dzieło uczyniły tak fascynującym, że przetrwało po dzień dzisiejszy. Tak naprawdę najwięźlejszą odpowiedzi na pytanie o status literaturoznawstwa jako dyscypliny naukowej podaję w mojej książce *Professional Correctness* [Poprawność zawodowa]: trzeba mieć się na baczności i przestrzegać zasady dystynktywności zadań, tak aby ich nie pomylić i nie zaniechać wysiłków zmierzających do opisu i ewaluacji; trzeba cały czas być skupionym na odpowiednich kwestiach, które odnoszą się do odpowiednich parametrów, mającego określony cel, utworu artystycznego. Tak więc los literaturoznawstwa po części zależy od tego, czy będzie ono starało się pozostać tym, co sugeruje sama jego nazwa – **literaturoznawstwem**.

LD: I nic innego nie mogłoby zająć miejsca jego dotychczasowej istoty dystynktywności; nie da się zastąpić „literackości” żadną inną właściwością, na której literaturoznawstwo jako dyscyplina mogłoby się skupić?

SF: W ostatnich latach bardzo mocno podkreślano rolę historii i polityki. Po raz kolejny zaznaczam, że nie widzę w tym nic złego, ale chodzi mi po prostu o to, że nie powinniśmy popełniać błędu polegającego na założeniu, że skupiając się na historycznych i politycznych aspektach poezji Milтона, wzmagamy naszą zdolność docenienia utworu literackiego. To nieprawda – osłabiamy tę zdolność. Nie jest prawdą, że im więcej uwagi poświęcamy Miltonowi jako zwolennikowi pewnych poglądów politycznych, tym lepiej rozumiemy jego utwory literackie. Jeśli chcemy zrozumieć jego utwory literackie, musimy zacząć i skończyć na ich znaczeniu jako utworów **literackich**.

LD: Wspomniał Pan wcześniej o postaci ironisty u Rorty’ego. Chciałbym teraz zapytać o Pańską tożsamość zawodową. Zwykle grubą kreską oddziela Pana swoje życie prywatne i zawodowe; raz nawet określił Pan sam siebie jako „zawodowego aktora akademickiego”. W rzeczywistości to chyba nawet bardziej skomplikowane. Nie doskwiera czasem Panu taki syndrom dra Jekylla i pana Hyde’a, na przykład kiedy do południa uczestniczy Pan w konferencji poświęconej Miltonowi, a po południu tego samego dnia wygłasza Pan przed zupełnie inną publicz-

nością wykład, dajmy na to, o ułudzie krytycznej samoświadomości? Jak radzi Pan sobie z pogodzeniem tych dwóch (a może i więcej) tożsamości?

SF: No, te dwie to jeszcze nie taki problem...

LD: Do tego dochodzi jeszcze praca naukowa z dziedziny prawa...

SF: Jednak wszystkie te dziedziny wiążą się z tą samą formą działalności naukowej, polegającej na próbie przedstawienia opisu pewnego zagadnienia, które do tej pory podlegało dyskusji. Może to być ogólna kwestia dotycząca tego, jak przebiega interpretacja; może też być to zagadnienie związane z rozwojem słownictwa prawnego i jego związków z pojęciem sprawiedliwości – wszystkie te tematy mogą być przedmiotem dociekań naukowych. Rozdźwięk, czy też coś, co można by określić jako podział ról [compartmentalization], pojawia się raczej między tym, co robię jako naukowiec i tym, co będę robił dzisiaj po południu, kiedy to będę komentował sytuację przedwyborczą w programie BBC². Wystąpię tam w roli komentatora politycznego – w takiej roli pisuję również artykuły do rozmaitych gazet i czasopism, zajmując się w nich nierzadko kwestiami społecznymi i politycznymi. Kwestie te różnią się zasadniczo od zagadnień naukowych. Oczywiście prawdą jest, że to właśnie dzięki działalności naukowej dałem się poznać różnym ludziom i dlatego czasami zdarza im się zadzwonić do mnie z pytaniami o sprawy nienaukowe, ale fakt, że właśnie za sprawą działalności naukowej zwrócili na mnie uwagę ludzie z radia, telewizji i prasy, nie podważa podziału, o którym mówię. To samo dotyczy pracy administracyjnej. Zadania administracyjne są bardzo konkretne: na co dzień muszę radzić sobie z różnymi sytuacjami kryzysowymi, problemami, dopilnować wielu spraw, dogadywać się z różnymi ludźmi, ucząc się, jak kierować rozmową tak, aby zniwelować napięcia i przywrócić porządek korzystny z punktu widzenia interesów administracyjnych. To zupełnie inne zagadnienia – jako ktoś, kto na co dzień zajmuje się sprawami administracyjnymi, nie zaprzęgam sobie głowy kwestiami epistemologicznymi, nie martwię się też o poprawność interpretacji wiersza, czy też o status prawny dyskursu religijnego w naszym kraju.

LD: A jednak znajduje Pan czas, by co miesiąc napisać sprawnie skonstruowany i ciekawy esej dla *Higher Education Chronicle*³. Czy to nie jest czasem próba psychologicznej racjonalizacji, a może nawet dobudowywania teorii do tego, co robi Pan jako administrator?

SF: Do pewnego stopnia. Dobudowywanie teorii to może zbyt mocno powiedziane. Staram się wyjaśnić innym administratorom to, co często już i tak dobrze wiedzą. Te eseje różnią się między sobą: w niektórych po prostu ubieram w proste słowa rzeczy dobrze administratorom znane, tak jak na przykład w niedawno opublikowanym tekście pt. *Welcoming Remarks* [Co powiedzieć na powitanie], w którym zwyczajnie opisuję, jak to jest, kiedy jako administrator trzeba otworzyć konferencję poświęconą dziedzinie, o której nic się nie wie, albo przynajmniej bardzo niewiele. Cóż to za zadanie? W jaki sposób do niego podejść? Gdzie można popełnić błąd? Nie sądzę, żebym któremukolwiek administratorowi w tym kraju mówił o czymś, o czym on już wcześniej nie wiedział. Ale podejrzewam, że nikt do tej pory nie przedstawił tego w taki w sposób. A więc mamy właśnie tego

rodzaju eseje – z drugiej strony są i takie, w których zajmuję się sprawami akademickimi i sposobami podejścia do nich, a więc procedurami dyscyplinarnymi, naborem, promocjami i etatami, „stanem zdrowia” i „dolegliwościami” poszczególnych katedr i instytutów. Te eseje są po części opisowe, a po części mają charakter zachęty lub namowy, na zasadzie: „Nie róbcie tego”, „Uważajcie na tamto”, „Trzymajcie się od tego z daleka”. Tak więc w sumie bardzo niewiele jest w nich teoretyzowania rozumianego jako rozważania na temat: „Jaki jest ogólny cel kształcenia?” albo „Jaki los czeka naszą cywilizację i co z tym począć?”

LD: Mówiąc o dobudowywaniu teorii miałem na myśli po prostu próbę spojrzania z boku na swoją własną pracę administracyjną, a takie akcenty chyba dało by się znaleźć w Pańskich esejach... Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest Pan zajęty i ile ma Pan na co dzień obowiązków zawodowych tu na miejscu w Chicago, ale wyobraźmy sobie, że odrywa się Pan od nich na jakiś czas i przyjeżdża Pan do Polski, by wygłosić wykład dla polskich studentów i pracowników naukowych. Biorąc pod uwagę nieuniknione różnice kulturowe i językowe, miałby Pan im do przekazania coś wyjątkowego, odmiennego od tego, co zwykle mówi Pan swoim amerykańskim słuchaczom?

SF: Nie wiem. To dobre pytanie, bo pozwala mi wspomnieć o czymś, co powinienem już chyba wcześniej podkreślić. Jak bym postąpił, gdyby mnie zaproszono do Polski, by wygłosić kilka wykładów? Siadłbym i porozmawiał najpierw z Panem lub z kimś innym, kto jest zorientowany w warunkach, w jakich funkcjonuje polska edukacja, ponieważ trudno zakładać, że te same zagadnienia, które tutaj wzbudzają tyle emocji i konsternacji, byłyby odbierane podobnie w Polsce. A więc musiałbym postawić sobie następujące pytanie: co wzbudza zainteresowanie lub troskę polskich naukowców, nauczycieli i studentów i co ja im mogę na ten temat powiedzieć? Nie wiem – musiałbym najpierw zapytać Pana, ponieważ nie można zakładać, że dyskurs akademicki w jednym kraju funkcjonuje dokładnie tak samo w innym kraju, nawet w dobie dynamicznego rozwoju komunikacji, internetu itp. Nawet w tym kraju tak nie jest: można znaleźć szkoły, czy uniwersytety, gdzie ludzie ciągle jeszcze zajmują się problemami, które dla mnie przebrzmiały już piętnaście albo nawet dwadzieścia lat temu. Czy w Polsce jest podobnie? Nie wiem, dlatego najpierw musiałbym zasięgnąć na ten temat informacji.

LD: Szczerze mówiąc Pana odpowiedź podsunęła mi kolejne pytanie związane z przekładalnością teorii w sensie ogólnym jak również przekładalnością konkretnych zagadnień naukowych. Myśli Pan, że teorię oraz zagadnienia teoretyczne – na przykład te, które cieszą się akurat teraz olbrzymim zainteresowaniem w Pańskim kraju - da się skutecznie przełożyć w kulturowo i językowo odmiennym otoczeniu?

SF: W Stanach Zjednoczonych zawsze upieram się przy dystynktywności akademickiej czy też naukowej działalności i występuję przeciwko wprowadzaniu w mury akademii szeroko rozumianych zagadnień politycznych. Ale są kraje, gdzie takie stanowisko i podobne poglądy byłyby co najmniej niedorzeczne, gdzie nie można sobie nawet wyobrazić jakiegokolwiek kwestii akademickiej w oderwaniu od bieżą-

cych zagadnień politycznych. Podejrzewam, że tak to w dużym stopniu wygląda w krajach Bliskiego Wschodu, bez względu na to, czy przyjrzymy się krajom arabskim, czy Izraelowi; podobnie rzecz się pewnie ma na uczelniach w Ameryce Łacińskiej, gdzie nigdy nie zdołano oddzielić kwestii akademickich od politycznych. A więc pod wieloma względami wygłaszam swoje poglądy z uprzywilejowanej pozycji, z miejsca, w którym opowiedziano się po stronie autonomii życia naukowego już dawno temu, chociaż w praktyce bez przerwy dochodzi do naruszania tej autonomii. Patrząc na moje poglądy z tej perspektywy, myślę, że jest to ich słabość, wada w moim ogólnym profilu intelektualnym. W niedawno opublikowanym esej⁴ nie ukrywam, że wiele z tego, co mówi na mój temat mój dobry przyjaciel Terry Eagleton⁵ to prawda. Jeden z zarzutów dotyczy mojego braku kosmopolityzmu. W przeciwieństwie do Terry'ego i kolejnego mojego bliskiego przyjaciela, Edwarda Saïda, nie podróżuję zbyt wiele i nie zajmuję się zagadnieniami, które pozwoliłyby mi określić się jako intelektualista europejski, co można uznać za zaletę lub wadę moich poglądów (wielu ludzi – tak jak Terry – uznałoby to za wadę). Jestem amerykańskim naukowcem i w związku z tym amerykańskim intelektualistą, może nawet w większym stopniu niż ci, których dorobek jest znany nie tylko w Stanach Zjednoczonych ale też i w innych krajach. Rorty to prawdziwy kosmopolita (choć jest też w bardzo wyraźny i zdecydowany sposób amerykański), no i oczywiście odnosi się to do innych ważnych postaci, które odegrały istotną rolę na przestrzeni ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat, takich jak Derrida, Foucault, Iser, Jaus, czy obecnie Žižek, Judith Butler. To naturalnie bardzo niekompletna lista, ale wszyscy ci, których tu wymieniłem, wydają mi się znacznie bardziej kosmopolityczni ode mnie, ponieważ obszar ich zainteresowań badawczych jest zazwyczaj zdecydowanie szerszy od mojego.

LD: Mimo to, a może właśnie w związku z tym, chciałbym Pana serdecznie zaprosić do odwiedzenia Polski, ponieważ jestem przekonany, że, biorąc pod uwagę obecne uznanie i entuzjazm, jakim cieszą się Pańskie prace w naszym kraju, zarówno polscy studenci jak i naukowcy docenią Pana profil intelektualny. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Przypisy

¹ Stanley Fish, *Z uszanowaniem od Autora: refleksje nad Austinem i Derridą*, przeł. Krzysztof Abriszewski, *Er(r)go* 2000 nr 2.

² Nasza rozmowa miała miejsce na dzień przed wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych, 1 listopada 2004 r.

³ Jedno z najważniejszych i najpoczytniejszych pism zajmujących się kwestiami edukacji w USA, szczególnie na poziomie uniwersyteckim.

⁴ Zob. Fish Stanley, *One More Time*, w: *Postmodern Sophistry: Stanley Fish and the Critical Enterprise*, red. Gary A. Olson and Lynn Worsham, Albany, SUNY Press 2004.

⁵ Zob. Eagleton Terry, *The Estate Agent: Stanley Fish and His Trouble With Principles*, w: *Postmodern Sophistry...*